

## **Julia Oleszyńska, klasa G1C**

Znów pogrążona we własnych myślach, wpatrując się w niewyraźne kontury marnych, oddalonych o setki mil, jak mi się wtedy wydawało, domów, czułam upojenie. Upojenie chwilą i sceną odgrywaną się w mojej niczym niezaspokojonej i nieograniczonej wyobraźni.

Po formalno-kościelnych obrzędach wreszcie byliśmy sami. Ja i On. Ogień i woda. Wenus i Mars. Serce i rozum. Dwa ciała i jedna dusza. Róża i Michał. Jego apollinijskie ciało mieniło się w blasku księżyca. Tembr jego głosu lał się jak miód na moje serce. Słyszałam jego kroki – lekkie, acz stanowcze. Zbliżały się w równym tempie, z nieludzką wprost gracją. Poczulałam jego ciepły oddech na moim karku oraz subtelny dotyk na moim obnażonym ramieniu. Obróciłam się, by zatopić się w jego ustach i poczuć ukojenie w jego ramionach. Nagle zastygłam. Rozpalone zmysły zeszytniały. Skronie pokryły się zimnym potem. Wzrok stał się pusty i beznamiętny. Moim oczom ukazał się Adam. Ten, tak bardzo znienawidzony, beznadziejny, pospolity Adam. Nienawidziłam go całym sercem, lecz jedno nas łączyło – byliśmy dla siebie nawzajem wyrokiem. Plagą, karą, katuszami, skazańcami spowitymi pajęczyną nieosiągalności. On – jeszcze wtedy nieświadomie, ja – z wyboru. Ogarnęły mnie wstręt i obrzydzenie. Jakim prawem śmiał mnie dotknąć? Jeszcze nie wie, że na mnie nie zasługuje? Parszywa gnida. Gdy wpatrywałam się morderczym wzrokiem w rzednącą minę Adama, znów zaczęła ogarniać mnie dzika satysfakcja. Triumfowałam nad tym marnym tworem, na którym skupiłam całą swoją nienawiść do rodzaju męskiego i polskiego przy okazji. Potrzebował mnie. Mojej miłości, wsparcia, rodzinnego ciepła, którego ja nie mogłam, nie chciałam mu zapewnić. Drżąca ręką osunęła się z mojego ramienia. Wymowne „To ty?” odebrało mu resztki animuszu. Odwrócił wzrok, nie mogąc wytrzymać beznamiętnego spojrzenia mojej duszy. Wyszedł, a wspomnienia wróciły. Poczulałam jak na moje lico spływają dwa potoki łez. Dziwne. Nie przywykłam do płaczu. Tęsknota za Michałem zabijała codziennie kolejną cząstkę mnie. Bezlitośnie przykrywała ciemną kurtyną świadome części mej duszy, rzucała kłótnię wiecznego snu. Znowu ona. Fotografia ze szczęśliwych lat, chociaż wątpię czy kiedykolwiek byłam naprawdę szczęśliwa. Na zdjęciu my, we dwoje. Ja gram na skrzypcach VIII Symfonię Schuberta, on słucha i wpatruje się we mnie wzrokiem pełnym uznania i uwielbienia. Uśmiecha się tym swoim rozbrajającym uśmiechem. A później z zimną krwią zostawia mnie. Głupiec. Łkając, trzymając zdjęcie przy piersi, zasnęłam. Nie wiem jak długo spałam, ale On znów tam był.

Czarował swoją aurą, magnetyczną osobowością, swoją doskonałością. A ja byłam tam dla niego, z nim i przez niego. Tymczasem sen został zakłócony przez Adama, właściwie przez jego niezgrabne kroki. Dość tego. Patrz i zapamiętaj raz na zawsze. Oto ten, którym nie jesteś. Wyciągnęłam fotografię z fałdów koszuli i pokazałam Adamowi. „To jest Michał, nigdy mu nie dorównasz.” Adam stał nieruchomo, ale nie zwracałam na to uwagi. Patrzyłam na zdjęcie i mimowolnie zaczęłam szeptać „O jakie ręce, jakie dłonie...”

Straciłam wiarę, że cokolwiek się odmieni. Czekam aż znów zapadnie noc. Zapadnie noc i uwolnię się od mroków, ucieknę przed koszmarem dnia. Koszmarem mojej zbłąkanej duszy, ściganej przez żądzę zemsty i szaleństwo.